GŁOS
BRATA ALBERTA

ŻYCIE ME DOCZESNE UBOGIM ZAWDZIĘCZAM, DO NICH WIĘC ONO CAŁKOWICIE I ZE SPRAWIEDLIWOŚCI NALEŻY.

— BRAT ALBERT

Rok VI LISTOPAD - GRUDZIEŃ — 1937 Nr. 6

PISMO PRZYJACIÓŁ DZIEŁA BRATA ALBERTA

KRAKÓW, ul. KOŚCIUSZKI 86.

TREŚĆ ZESZYTU:

Za pozwoleniem władzy duchownej.

Redaktor: *Władysław Figiel* **Wydawca:** *Brat Wincenty, Albertyn*

Przedpłata roczna: 1.80 zł.

Cena zeszytu: 30 gr.



Obrazki z pobytu J. E. Ks. bp. Czesława Sokołowskiego na Kalatówkach, VIII. 1937.

Wakacje.

Tegoroczne wakacje w Zakładzie Zwierzynieckim rozpoczęły się dosyć późno, ponieważ można było dopiero wyjechać do Zakopanego 20 lipca. Powodem tego było, że do 20 lipca bawili na Kalatówkach Warszawiacy. Krakowski Zakład jako bliższy Zakopanego ustąpił wspaniałomyślnie swój termin, by Warszawiacy mogli w odpowiednim dla nich czasie spędzić wakacje na Kalatówkach. Tradycyjne wakacje mają już to do siebie, że na dłuższy czas przed wyjazdem robi się przygotowania, a jeszcze więcej snuje się projekty jak najmilszego spędzenia czasu na wolności i swobodzie. I tak podniecona wyobraźnia pracuje u kandydatów na wakacje zakopiańskie, które są najmilsze z całego długiego roku. Pobyt w Zakładzie niejednokrotnie oblicza się u chłopców, ile razy był w Zakopanem.



Jak miło nam, na Kalatówkach — chłopcy z Zakładu krakowskiego.

Warszawiacy w Zakopanem.



Rozpoczęcie obozu P. W., ćwiczenia hufca, pod kolejką linową.

Jak już donosiliśmy w poprzednim numerze naszego pisemka, że dzięki wielkiej życzliwości Brata Generalnego i wiel-

kim wysiłkom naszego Przełożonego Brata Anioła wakacje spędziliśmy w Zakopanem.

Jakie wrażenie na nas zrobiło Zakopane i jak piękne są nasze polskie góry żeby to wszystko opisać należycie zasłabe jest pióro kronikarza Zakładowego. Na to trzeba być nie przeciętnej miary poetą. Wiedząc o tem nie będę się porywał na barwne opisy, ale w prostych słowach podam niektóre fakta przez nas przeżyte.

Sam wyjazd z Warszawy był nielada sensacją gdy 21 czerwca o godz. 21 przy blasku pochodni z karabinami na ramieniu i orkiestrą na czele pod dowództwem por. Bartosia i podchorążego Dunina, dziarskim krokiem wyruszyliśmy na dworzec wielka rzesza warszawian towarzyszyła nam do samej stacji, wypytując się po drodze Brata Przełożonego dokąd my się to udajemy, a gdy dowiedzieli się że do Zakopanego spoglądali na nas jak na wybrańców losu i zazdrościli po trosze, że przez cały miesiąc będziemy w Zakopanem, a tu w Warszawie tak gorąco. Największą sensację budził nasz ośmioletni junak Aksamitowski Kazimierz, który ze sportowym karabinkiem na ramieniu tak dumnie kroczył, jak wódz po największy zwycięstwie. Na dworcu głównym orkiestra nasza bawiła publiczność wesołymi marszami zaco została nagrodzona rzęsistymi oklaskami. W pociągu jedni śpiewali, inni opowiadali wesoło powiastki, a jeszcze inni czekali rychłego ujrzenia Krakowa chociaż dzieliła nas przestrzeń około 300 km.

W Krakowie pomimo rzęsistego deszczu spotkaliśmy na stacji Redaktora „Głosu Brata Alberta i Brata" Generalnego któremu ojcowskie serce bez względu na pogodę kazało przyjechać na dworzec, a którego widok sprawił nam niezmierną radość i podniósł na duchu że pomimo „wiadro wody", jak się niektórzy wyrażali, spływającej po szybach pociągu jaśniej patrzeliśmy na świat. Po wyjeździe z Krakowa wyglądaliśmy już za Bonarką czy nie widać Kalwarii, o której tyle razy słyszeliśmy, a którą nasi Bracia Nowicjusze przed dwoma tygodniami zwiedzali. Tutaj samo niebo przyszło nam w pomoc, gdyż rozjaśniło swe oblicze i piękna pogoda dopisywała nam przez cały pobyt w Zakopanem. W podróży do Zakopanego widzieliśmy Kalwarię jak na dłoni, a nieco później potężny masyw naszych Tatr. Zapatrzeni w te piękne widoki niewiadomo kiedy znaleź-

liśmy się w Zakopanem. Jakie wrażenie zrobiło Zakopane trudno opisać. Jedni rozpływali się w zachwycie, inni a zwłaszcza ci mali byli rozczarowani i oni to potem zadawali Bratu Wychowawcy tysiące najrozmaitszych pytań, na które ten pocąc się (bo szedł pod górę) musiał odpowiadać. Jednym słowem zdania były różne. Ale mniejsza oto. Po wyładowaniu z pociągu orkiestra zagrała kilka wesołych kawałków i ruszyliśmy na Kalatówki, gdzie nas czekał smaczny obiad przygotowany przez Brata przełożonego Wojciecha i zasłużony spoczynek po trudach podróży. Na drugi dzień świeży i wypoczęci zabraliśmy się do pracy przygotowując do wielkiej dla nas uroczystości, uroczystego otwarcia obozu P. W., które nastąpiło w niedzielę 27 czerwca. Mszę św. polową odprawił ks. dr. Bałuk po której wygłosił okolicznościowe kazanie. Następnie komendant naszego Obozu por. Bartoś w krótkich ale gorących słowach przemówił do junaków wskazując na cele i zadanie młodego pokolenia. Przemówieniem p. mgr. żaka i uroczystem podniesieniem flagi zakończono tę wzniosłą uroczystość, w której wzięli liczny udział przedstawiciele władz i społeczeństwa zakopiańskiego, potem nastąpił koncert orkiestry. Wieczorem urządzono ognisko, na które zebrało się bardzo dużo publiczności, a wesołe pokazy naszych junaków tak ich ubawiły, że roześmiani i zadowoleni rozeszli się do domów odprowadzeni przez junaków z pochodniami do Kuźnic. Przy tym należy nadmienić, że ogniska urządzaliśmy w każdą niedzielę i święto i zawsze cieszyły się wielką pochwałą publiczności. W dniu „Święta Morza" wzięliśmy gremialnie udział w obchodzie urządzonym przez społeczeństwo zakopiańskie, gdzie znowu orkiestra, jak wszędzie, zyskała wielkie uznanie.
Dzięki staraniom i wielkim wysiłkom Brata Przełożonego naszego wiedliśmy swój sielski żywot w Zakopanem. Zrobiliśmy kilka jednodniowych wycieczek na Giewont, do Doliny Kościeliskie, Czarnego Stawu, na Kościelec, Świnnicę i dwudniową wycięczkę do Morskiego Oka przez Zawrat.

żeby opisywać wrażenia doznane na wycieczkach brakłoby miejsca w „Bratnim Znaku", a przecież wiemy, że i koledzy z Krakowa ,Przemyśla ,Stanisławowa i Kamionki byli na wakacjach że i Oni też pragną podzielić się z nami radością na łamach naszego pisemka. Nadszedł najmniej upragniony dzień 21 lipca, dzień wyjazdu z Żakopanego. Jakie miny mieli nasi junacy

każdy sobie wyobrazi. Dopiero popołudniu kiedy przyjechali koledzy z Zakładu krakowskiego twarze się rozjaśniły i wesołość trysnęła w całej pełni. Robiliśmy wspólne fotografie, był popis orkiestr i znowu o godz. 21 żegnani entuzjastycznie przez krakowiaków, a potem przez społeczeństwo zakopiańskie maszerując na dworzec. O godz. 5, 22 lipca byliśmy już w Krakowie.



W Krakowie na dziedzińcu zamkowym, przed kościołem P. M., przy pomniku Mickiewicza i na Sowińcu.

Tutaj zatrzymaliśmy się w Zakładzie na Zwierzyńcu, gdzie zostaliśmy przyjęci z nadzwyczajną uprzejmością i staropolską gościnnością przez Brata Przełożonego Karola i po sutym śniadaniu puściliśmy się na zwiedzanie Krakowa. W tym dniu zwiedziliśmy Wawel, Zamek Królewski, byliśmy u grobów Królów polskich w krypcie Marszałka, w skarbcu i u dzwonu Zygmunta. Następnie zwiedziliśmy Skałkę gdzie znajdują się groby Mężów zasłużonych. W dniu 23 rano zwiedziliśmy Pałac prasy, Kościół Mariacki i Muzeum Narodowe, a po południu kopalnie soli w Wieliczce. 24 rano udaliśmy się wszyscy na czele z Bratem Przełożonym Aniołem na Sowiniec, a po południu złożyliśmy hołd u grobu Bratu Albertowi dziękując przede wszystkim

za założenie Jego Zgromadzenia Albertynów, które wychowuje setki sierot takich jak my i prosiliśmy o wstawiennictwo u Boga za nami na przyszłość kiedy będziemy zdani na własne siły. Wieczorem tegoż dnia obdarowani cukierkami na drogę przez Brata Przełożonego Karola i serdecznie żegnani wróciliśmy do Warszawy. Jak się czujemy po wakacjach napiszemy w następnym numerze, a teraz serdecznie dziękujemy Przewielebnemu Bratu Generalnemu Bratu Przełożonemu Karolowi i naszemu Przełożonemu Bratu Aniołowi za wszystkie trudy i poświęcenia dla nas podjęte.

Kronikarz

CICHY BOHATER

Zdarzenie prawdziwe w Wielkich Strzelcach pow, Gostyń

Dzień to świąteczny. Biją wszystkie dzwony,
Wzywając wiernych na mszę do kościoła.
Spieszą dziateczki, mężowie ich żony,
A w tem ktoś krzyczy, przeraźliwie woła:
Tonie! ratujcie, młody chłopiec tonie!
Zbiegli się ludzie nad strumyka brzegiem,
Każdy coś mówi i radzi na stronie,
Lecz nikt z pomocą z miejsca się nie rusza;
Stanęli wszyscy jak wojsko, szeregiem,
Jakby zamarła na zawsze w nim dusza.
A chłopiec biedny walczy sił ostatkiem,
Wyciąga ręce błagając ratunku
Wtem młody lekarz, jadący przypadkiem
Dzielny pracownik swego posterunku,
Bez chwil namysłu rzuca się do wody,
A zanim synek idzie w ślady ojca
I nie zważając na żadne przeszkody
Pomaga z wody wydostać topielca.
Obydwaj walczą jak bohaterowie,
Lecz chociaż śmiercią zakończył się dramat
O pięknym czynie niechaj świat się dowie,
Niech wiedzą wszyscy, że są jeszcze w Polsce
Dusze szlachetne pełne poświęcenia,
Co pędzą życie i w pracy i trosce,
Aby zasłużyć na palmę zbawienia.

Emilia Stablewska

WYKAZ ZŁOŻONYCH SKŁADEK

Na fundusz beatyfikacji Brata Alberta złożyli:

W. P. Kudłacik mistrz stolarski w Schronisku Brata Alberta w Krakowie przy ul. Krakowskiej L. 43. — 25 zł. N. N. Kraków — 5 zł. W. P. Emil Michno mistrz krawiecki w Zakładzie Braci Albertynów w Kamionce — 5 zł. Z okazji Imienin Wiel. Brata Starszego Wincentego złożyli: p. p. Natanek mistrz introligatorski — 5 zł, Semenowicz mistrz krawiecki — 5 zł, Sierpniowski mistrz szewski — 5 zł, Radwan — 5 zł, Gwizdek — 3 zł, Łukasik — 2 zł. Oliński — 2 zł, Owczarzy — 2 zł, Figiel Lucjan — 2 zł, Koło byłych Wychowanków albertyńskich w Krakowie — 10 zł.

Za złożone ofiary redakcja składa stokrotne „Bóg zapłać".

Pamiętaj, że w dniu 1 listopada mamy wszyscy jechać na zjazd b. wychowanków do Krakowa.

P r o s i m y!!!

Wszystkich b. wychowanków o przesłanie nam 2 fotografii (17×30) do albumu pamiątkowego, który zostanie wręczony Br. St. Wincentemu podczas zjazdu w Krakowie.

Redakcja

Stosując się do dekretów papieża Urbana VIII, oświadczamy że opisując zdarzenia i łaski nadzwyczajne nie chcemy uprzedzać wyroków Stolicy św. której we wszystkim i najzupełniej się poddajemy. REDAKCJA

Za pozwoleniem władzy Duchownej i Zakonnej.



25-letni posterunek służby albertyńskiej.

W r. 1912 powstały zakład wychowawczy dla chłopców w Krakowie przy ul. Kościuszki 86.

„Jak jaskółki na wiosnę wracają do ojczystych krajów, aby radować ciepłymi promieniami wiosennego słońca, tak również i wychowankowie, którzy zakład już opuścili, winni w podobnych uroczystościach, owianych ciepłem minionych chwil czerpać siłę duchową do dalszej pracy".

Dr Stanisław Klimecki
wiceprezydent m. Krakowa

(Z przemówienia podczas uroczystości wigilijnej w zakładzie).

Na marginesie żywej niedoli.



JEm. Ks., Prymas Polski Kardynał Hlond wygłosił dn. 9 października 1937 r. na rozpoczęcie Tygodnia Miłosierdzia następującą mowę radiową:

„Przebrzmiało słuchowisko dla Polaków zagranicą. Jakżeż ono nas zawsze przejmuje. Zasłuchujemy się w nim w świątecznych nastrojach i z takim napięciem uczuć, jak gdyby się wtedy antena polska ładowała energią dusz naszych i jak gdyby się polska fala skrzyła ogniami tych mocy, które poprzez przestrzenie skuwają w jedność nierozdzielną dzieci Orła Białego.

Istnieje druga polska zagranica — po tej stronie celnych komór. Tworzy ją ta **żywa niedola** wśród nas, którą w własnym kraju zagraniczają niepomyślne warunki bytu. To ci bracia, którzy na ojczystej ziemi żyją jakby nie tutejsi, jakby do nas nie należeli, jakby tu nie mieli praw. To ci, co pozbawieni zarobku, wystarczającego na potrzeby życiowe, są w własnym Państwie bez chleba i dachu. Żyją tu jakby poza społeczeństwem. Zepchnię-

ci z gościńca, na którym sunie się dziejowy pochód Narodu, odsunięci od twórczych możliwości, traktowani jako niepotrzebni, tolerowani jako ciężar społeczny, unikani proletariusze, nie mają udziału w zdobywczych porywach kraju, nie przeżywają dumy państwowej, męczą się swym upośledzeniem, deprawują się poczuciem swej niższości, roznamiętniają się świadomością swej krzywdy a w końcu jakże często zacinają się w zapalczywej nienawiści. Krajowa zagranica niedostatku i biedy! Ileż w niej naszego bólu narodowego! W stosunku do tej zagranicy zagoszczonej w całej Polsce nadawcze lampy serc bratnich żarzyć się muszą mocą ofiarnej, owszem heroicznej, jak na nasz skromny majątek narodowy, miłości bliźniego.

Ubodzy jesteśmy po klęskach niewoli a jeszcze dotkliwiej zbiedził nas powszechny i własny kryzys gospodarczy. Takie nam podała Opatrzność warunki przyszłej wielkości: warunki trudne, ciężkie, twarde. Niepodległości nie mamy rozumieć jako życie łatwe hulaszcze. Wielkości nie mamy pokładać w wyszukajności, frykasach, swawoli. Miarą kultury nie ma być zbytek i używanie, a dogadzania sobie nie mamy uważać za miarę postępu. Hart i szlachetność polską wykuwać musimy w znojnym trudzie i zaparciu siebie. A zarazem mamy się zaprawiać do służby społecznej na jak najszerszą skalę. Z samolubstwa leczyć się mamy czynną miłością bliźniego. A ponieważ szczupły jest nasz dobytek narodowy i mały jest bochenek, którym się polska rodzina dzieli, powinien każdy, który większą kromkę otrzyma, podzielić się nią z tym, którego przy rozdziale pominięto. Taki jest sens naszego pokolenia, takie zadanie nasze na długi okres czasu. Cudem poświęcenia wskrzesimy cud polskiej jedności i wielkości.

Na tle tej naszej rzeczywistości i naszych posłannictw organizuje się „Tydzień Miłosierdzia". Nie będę go uzasadniał. Wprawdzie bardzo poważny dział pracy finansów stanowi nowoczesna publiczna opieka społeczna, wykonywana przez Państwo i samorządy. Wprost nadzwyczajne wyniki daje opatrznościowa akcja zimowa na rzecz bezrobotnych. Fantastyczny zasięg ma ta cicha pomoc, którą każdy z nas codziennie wspiera swoich stałych i przygodnych biednych. A mimo to jakież rozległe są dziedziny, na które rozciąga się z rosnącym powodzeniem zorganizowana katolicka akcja dobroczynna! **Od krakowskiej epoki miłosierdzia, której bohaterem nieśmiertelnym był brat Albert,** od

ła w tymże nadwiślańskim grodzie „Książęcobiskupi Komitet“, aż do „Domu Pracy“, poświęconego w tych dniach na stołecznym przedmieściu Nowym Bródnie, jakiż to cudowny korowód najszlachetniejszych inicjatyw i dzieł dobroczynnych, stworzonych choćby w ostatnich dwudziestu latach przez Caritasy, Panie Miłosierdzia, Konferencje św. Wincentego a Paulo, parafie, zgromadzenia i przeróżne zrzeszenia katolickie! Tak jest w Poznaniu, Katowicach, Łodzi, Łucku w każdym biskupim mieście, w każdym większym ośrodku przemysłowym i niemal już w każdej parafii.

Inaczej być nie może. Czyż chrześcijaństwo nie jest zasadniczo i istotnie altruistyczne a altruistyczne tą czynną miłością bliźniego, bez której pusta jest miłość Boga i fałszywa religijność? Po wiekach, które zapisały się w pamięci pokoleń tylu niezwykłymi czynami i fundacjami miłosierdzia chrześcijańskiego, pozostało zasadą żywej wiary słowo Apostoła św. Jakuba: „Czyste i niepokalane nabożeństwo przed Bogiem i Ojcem to jest, żeby mieć pieczę o sierotach i wdowach w ich utrapieniu a samego siebie strzec od zmazy tego świata“. Katolicyzm wygodny, miękki, ciasny, znudzony prośbą ubogich, rozdrażniony ich mnogością i uprzykrzaniem się, nie byłby wiernym i zupełnym wcieleniem ducha Chrystusowego. Renesans wiary musi się w dziedzinie społecznej zaznaczyć wzmożoną ofiarnością, zwiększonym poświęceniem, spotęgowaną wielkodusznością.

„Tydzień Miłosierdzia“ będzie zatem egzaminem polskiego katolicyzmu, miarą religijnych wartości, próbą poczucia społecznego, propagandą dobroczynności chrześcijańskiej, odpowiedzią na zastrzenia i krytyki, przyczynkiem do ładu publicznego, obywatelską służbą na postronnym a tak czułym odcinku naszej państwowości. W łagodnym klimacie polskiej jesieni przystąpi do nas z dobrotliwym, proszącym spojrzeniem śmiała kwesta na rzecz „najmniejszych“, powołując się cicho na przykazanie Najwyższego. O jej powodzeniu stanowić będą godność polskiej duszy i dostojeństwo pogłębiającego się katolicyzmu. (KAP).—

OKRUCHY

(Zebrane przez ks. Henryka Weryńskiego)

„**Bieda**, uczciwie nabyta, to — nie wstyd żaden! Ot, zwyczajna ospa, którą — co lepsze tylko na świecie — zenachodzić musi”...

(Wład. Stan. **Reymont** „Komiedprtka”)

Związek Przyjaciół Dzieła Brata Alberta

Rzucona przez ks. mgra Weryńskiego myśl założenia Koła Przyjaciół przy organizacji Albertynów wywołała duże zainteresowanie w opinii publicznej i znalazła sympatyczne przyjęcie. Już dziś zarysowują się dwie określone dążności na tym tle. Jedni pragnęliby w Kołach Przyjaciół skupić najwybitniejsze jednostki naszego społeczeństwa, które pod wpływem budzącego się odrodzenia katolicyzmu w Polsce chciałyby bodaj zewnętrznie przez materialne poparcie dzieła brata Alberta związać się ściślej z katolicyzmem, drudzy, ożywieni głębszym duchem religijnym, marzą o stworzeniu organizacji religijnej, a jednak wyłącznie świeckiej, duchem brata Alberta ożywionej. Obie dążności są uzasadnione potrzebą chwili, obie są konieczne i obie winny znaleźć odpowiednią formę realizacji. O ile jednak sprawa pierwsza, sprawa wezwania szczytów naszego społeczeństwa jest łatwiejszą, bo wymagająca tylko statutowego jej ujęcia, o tyle sprawa druga, sprawa organizacji religijnej świeckich, związanej ściśle z dziełem brata Alberta, jest trudna, bo wymaga gruntownego przemyślenia ducha i zasad albertyńskich, a nadto sankcji samego Kościoła i Stolicy Apostolskiej. Obie tendencje obracają się jeszcze w kole marzeń. Duch katolicyzmu, daleki jest jednak od jakiegokolwiek marzycielstwa, gdyż katolicyzm to najgłębsza rzeczywistość, to sama prawda. Dlatego zbliżmy się do właściwego zagadnienia od strony tej właśnie rzeczywistości.

Ma powstać Koło Przyjaciół Dzieła Brata Alberta! Cóż to jednak jest dziełem brata Alberta? Dziełem brata Alberta jest wskrzeszenie tercjarstwa w jego pierwotnej surowości ściśle według zasad św. Franciszka, od której jednak tercjarstwo przynajmniej w praktyce, z czasem odstąpiło. Ponadto wiadomo, że tercjarstwo nie wymaga wyłączenia się z życia świeckiego, ani zamknięcia się i odosobnienia od świata. Tymczasem zupełne poświęcenie się wykolejeńcom życiowym, ludziom, których namiętności, nędza i rozpacz zepchnęły na dno upadku, wymaga zakonnego odosobnienia się i zakonnej dyscy-



Ks. Bisk. C. Sokołowski, wielki orędownik dzieła Brata Alberta na Kalatówkach.

pliny. Potrzeba wreszcie ciągłości heroicznego i jednolitego wysiłku, świadomego swych celów i odpowiedzialnego kierownictwa, skłoniły brata Alberta do nadania grupie tercjarzy, któraby ten cel pragnęła realizować, formy organizacji ścisłej. Nie zapominajmy, że brat Albert był kiedyś wojskowym. Lepiej od innych rozumiał wartość organizacji działającej na komendę, uznającej ważność ślepego posłuszeństwa i dyscypliny. Zapewne te wojskowe jego przeżycia skierowały go zrazu do zakonu Jezuitów, który swą siłę oparł na bezwzględnym posłuszeństwie w myśl swego założyciela, byłego wojskowego, Ignacego Loyoli. Ale celem Jezuitów jest walka z wrogami Kościoła katolickiego. Celem Brata Alberta jest miłosierdzie, które jest także walką, ale z nędzą duchową, religijną, moralną, materialną i fizyczną ludzkości. Brat Albert podpisałby się niewątpliwie pod tymi słowami Huberta Rostworowskiego: „Ludzie są nie tyle źli, co nieszczęśliwi". Ignacy Loyola podjął walkę ze złymi ludźmi, lub przez złych obałamuconymi. Brat Albert postanowił ratować nieszczęśliwych. Wzorem jego jest Chrystus-Samarytanin, Chrystus-Dobry Pasterz. Idąc za tym właśnie wzorem zeszedł brat Albert z koturnów elity społeczeństwa, do której sam należał,

w suteryny „opuchlaków", jak się o nim ironicznie wyraził Stanisław Witkiewicz, przyjaciel brata Alberta, artysta i pisarz. Oddał swe życie za tych, których społeczeństwo ludzkie wyrzuciło poza siebie, od których odwróciło się ze wzgardą, skazując ich na wszechstronne sieroctwo. Zrazu zajmował się tylko wykolejeńcami w wieku dojrzałym lub starszym. Wnet jednak przekonał się, że upadek, rozpacz i nędza w wieku późniejszym są niemal zawsze następstwem braku religijnego i moralnego wychowania w latach dziecięcych. Z tego doświadczenia wysnuł prosty wniosek, że chcąc uwolnić społeczeństwo od przestępców i zbrodniarzy, chcąc złagodzić niedolę społeczeństwa, należy przede wszystkim zająć się sierotami, wyrwać z pod złych wpływów dzieci. I oto w konsekwencji tego rozumowania Albertyni zaczynają przytulać do siebie zaniedbane i opuszczone dzieci, budować dla nich schroniska, posyłać je do szkół i kształcić. Kto raz przyjął na siebie obowiązek opieki nad jakimś dzieckiem, ten wie, że obowiązek taki nie ogranicza się tylko do żywienia i ubierania w okresie dziecięstwa, ale sięga do chwili, kiedy dziecko stanie się wreszcie pełnym, dojrzałym człowiekiem. Należy wychowankowi zapewnić kawałek chleba, na który w sposób uczciwy mógłby zapracować. Ponieważ mały tylko odsetek wychowanków wykazuje zdolności umysłowe, a większość posiada uzdolnienia rzemieślniczo-rękodzielnicze, przeto należy ich w tym kierunku przede wszystkim kształcić. Niestety stan naszego rzemiosła i rękodzieła pod względem religijnym i moralnym naraża młodych adeptów na takie niebezpieczeństwa, że było rzeczą konieczną tworzyć własne warsztaty rzemieślniczo-rękodzielnicze pod fachowym kierownictwem. I na tym jeszcze nie koniec. Trzeba było przyszłym rękodzielnikom i rzemieślnikom ułatwić stworzenie własnego warsztatu pracy i zarobkowania. Dzieła tego podjęli się Albertyni, nie lękając się ciężarów, jakie na nich z tego powodu spadły i prowadzą je do chwili dzisiejszej, utrzymując siebie i swych wychowanków jedynie z jałmużny, wyjątkowo ze skromnych subwencyj państwowych, czy samorządowych. I to jest właściwe dzieło brata Alberta. Ma ono dwa fronty. Jeden zwrócony do bezdomnych i bezrobotnych w wieku starszym, drugi do zaniedbanych i osieroconych dzieci.

Związek Przyjaciół Dzieła Brata Alberta miałoby więc za zadanie interesowanie się rozwojem albertyńskich schronisk

i sierocińców, a w następstwie tego udzielanie pomocy moralnej lub materialnej Albertynom we wszystkich sprawach, związanych z działalnością tego zgromadzenia.

Do tej współpracy możnaby pociągnąć wszystkich ludzi dobrej woli.

Natomiast dla tych, dla których ta współpraca byłaby niewystarczającą, którzy ogarnięci ideą doskonalenia się wewnętrznego, pragnęliby pogłębić się religijnie, należałoby postawić jako cel ideę miłosierdzia, którąby obejmowała nie tylko zgromadzenie Albertynów, ale niezależnie od niego sięgała w stosunki ludzkie głębiej, a przede wszystkim tam, gdzie Albertyni z jakichkolwiek powodów nie mogli dotrzeć. Ideę taką określa najlepiej wyraz: Sieroctwo.

Świat dzisiejszy przy całym postępie w kierunku zrobienia życia wygodnym przez stosowanie środków mechanicznych staje się coraz więcej zimny i martwy.

Niedola dzisiejszego świata leży w coraz większym osamotnieniu człowieka-jednostki. Chorobą nowoczesną ludzkości jest osierocenie jednostki, potęgujące się w miarę zwiększającej się racjonalizacji i mechanizacji życia. Istnieje sieroctwo duchowe, moralne, materialne i fizyczne. Otóż Towarzystwo Przyjaciół Dzieła Brata Alberta głębiej i w sposób apostolski pojęte mogłoby zająć się podjęciem jakichś środków zaradczych na tę nową chorobę ludzkości. Oczywiście ci, którzyby podjęli się tego zadania, musieliby być praktykującymi katolikami a następnie zdawać sobie sprawę, że miłosierdzie nie jest celem samym w sobie najwyższym, ale tylko środkiem w doprowadzeniu ludzi do wiary w prawdziwego Boga. Brat Albert zgodnie z nauką Kościoła w wydanym przez siebie Przewodniku tercjarskim głosi, że największym dziełem miłosierdzia jest doprowadzenie ludzi do znajomości i praktykowania katechizmu. Towarzystwo takie miałoby więc charakter apostolski i winno być hierarchicznie związane z Kościołem. Byłoby dwustopniowe. Do stopnia niższego byliby przyjmowani wszyscy ludzie dobrej woli, do drugiego wyłącznie praktykujący katolicy. Tak sobie wyobrażam rozwinięcie projektu ks. mgra Weryńskiego.

Jubileusz

Dwadzieścia pięć lat istnienia krakowskiego Zakładu Wychowawczego, prowadzonego, przez Braci Albertynów, nasuwa mi pewne myśli. Są one związane z tymi, którzy przez owe ćwierć wieku prowadzili niestrudzenie akcję wychowania wśród pozostających pod ich opieką. Dlatego czas najwyższy zamanifestować swe uczucia w sposób godny byłych wychowanków albertyńskich.

Jubileusz obecny niech stanie się pochwałą, jaka należy się ze strony społeczeństwa, zwłaszcza krakowskiego, spadkobiercom wielkiej idei Brata Alberta.



Wychowankowie zakładu krakowskiego r. 1916.

A należy się ona tym, którzy duszę swą wkładają w dzieło przez się prowadzone.

Należy się owym „Nieznanym Żołnierzom" idei służenia drugim.

Tym, którzy ukryli swe nazwiska przed światem, bo nie o rozgłos im chodzi.

Pochwała, uznanie i wdzięczność należy się tym, nie znanym bliżej społeczeństwu jednostkom, pod nazwą „Braci" się kryjącym: Wincentym, Aniołom, Józefom, Marianom, Hipolitom, Paschalisom, Stanisławom, Antonim, Karolom, Viatorom, Franciszkom... oraz szeregowi innych, których imion przybranych nie sposób tu wymienić. Tym cichym bojownikom idei poświęcenia i ofiarności dla drugich.

Dzieło, któremu poświęcili swe życie, to jedno z najszczytniejszych, chociaż najtrudniejszych na świecie zadań.

Wpatrzeni w „Testament“ swego założyciela, Wielkiego Brata Alberta, kroczą wiernie jego śladem i uprawiają ten „ugór“ społeczny, by go w żyzną glebę zamienić.

To też dziś, po latach dwudziestu i pięciu zbierają obfite plony swej pracy wychowawczej. Całe szeregi Ich wychowanków rozrzuceni po kraju i pracujący rzetelnie nad podniesieniem Polski wzwyż, są tego oczywistym dowodem.

Zakład krakowski jest jako „Alma mater“ dla wielu, którym kapryśny los nie dozwolił pod opieką rodziców osiągnąć swego zawodowego wykształcenia.

Drugim czynnikiem, który przyczynił się do uświetnienia wyników pracy i pomyślnego rozwoju Zakładu jest gmina miasta Krakowa.

Ona to stale otacza opieką swe „krakowskie dzieci“ i finansuje charytatywne wysiłki Albertynów. I tu mimowoli przychodzi mi na myśl piosenka, śpiewana w czasie jednej uroczystości gwiazdkowej na Zwierzyńcu:

«Cześć Tobie gmino, cześć Ci Magistracie,
Boście dobrze zrozumieli biedę naszej chacie».

Zapewno Bracia Albertyni czytając o sobie będą się czuli może zawstydzeni, gdyż z ich reguły zakonnej wynika pokora.

Nie obrażając za tym pokory wyjaśniam, że chodzi tu także o to, by społeczeństwo zrozumiało, że my byli wychowankowie uświadamiamy sobie w całej pełni dobrodziejstwo, jakim nas przed laty obdarzali; że dziś po kilku czy kilkunastu latach samodzielnej pracy, czujemy się duchowo z Nimi związani, doceniając ogromu pracy, jaki wkładają w dzieło wychowania nowego pokolenia, owocem którego jesteśmy sami.

Na progu nowego ćwierćwiecza życzymy dalszego pomyślnego rozwoju pierwszemu z zakładów przez Albertynów prowadzonego, Seniorowi Krakowskiemu!

Niech promieniuje swoim przykładem bratnim placówkom charytatywnym a armia byłych wychowanków, licząca obecnie setki, niechaj urasta w tysiące dobrych synów Ojczyzny!

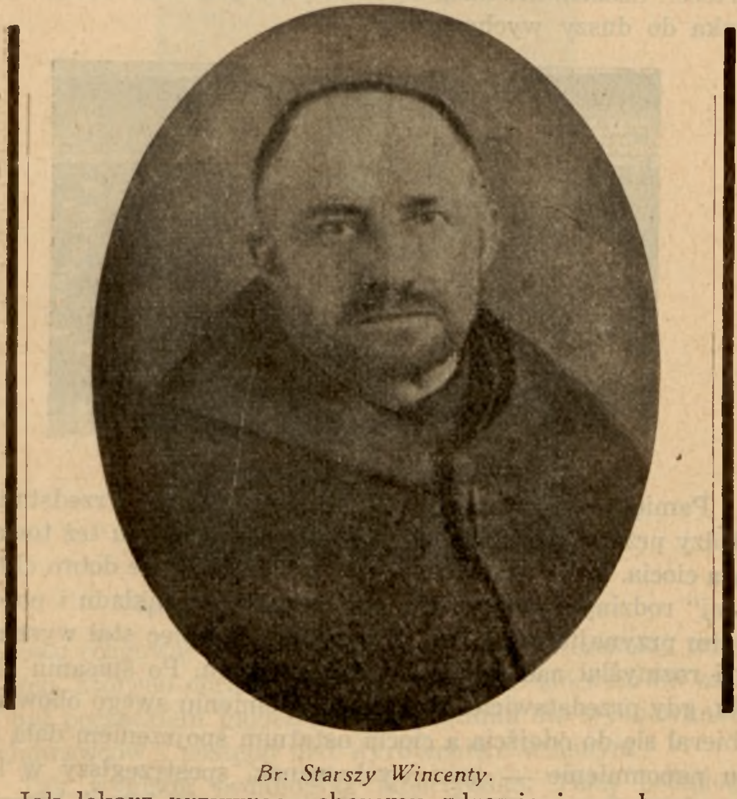
Szczęść Boże zbożnej pracy!

Ujsoły, 24.X. 1937. *Eugeniusz Kaliszyński*
b. wychowanek

Pedagogika Albertyńska

Każda rocznica lub jubileusz ma w życiu człowieka czy społeczeństwa duże znaczenie wychowawcze, gdyż jest to rzut oka na pewien krótszy lub dłuższy okres ofiar, wysiłku i pracy poniesionej dla dobra poszczególnych osób lub społeczeństwa.

Dwudziestopięciolecie istnienia zakładu wychowawczego dla bezdomnych chłopców to sukces i chluba Zgromadzenia Braci Albertynów.



Br. Starszy Wincenty.

Jak lekarz przywraca choremu zdrowie i z pełnym zadowoleniem oddaje go zrozpaczonej rodzinie, tak samo Bracia Albertyni, dzięki swej ofiarnej pracy w zakładzie wychowawczym oddali i dalej oddają społeczeństwu jednostki, które wskutek złych warunków środowiskowych, sieroctwa lub zupełnego opuszczenia znalazły się na drodze, która z całą pewnością wiodła je nad przepaść, — na pewną zgubę.

Bo kogóż to złe środowisko, warunku materialne: mieszkaniowe nie potrafią wykoleić? Co gorsze, gdy środowisko celowo wykoleja!

Po dłuższym obcowaniu z wychowankami, okazało się często, że znaczny procent tych, którzy znajdowali się u progu zguby i przez społeczeństwo silnie byli napiętnowani — to dusze dobre a nawet szlachetne.

Wymagali oni tylko specjalnej pedagogiki. Polegała ona na rozbudzaniu tego co szlachetne, na rozbudzaniu poczucia własnej wartości. Czasem drobiazg wystarczył, aby zbliżyć dusze wychowanka do duszy wychowawcy.



Na półmetku: 10 lat wcześniej'

Pamiętam taką scenę w kancelarii zakładu. Przedstawiciel Władzy przyprowadził do zakładu chłopca, któremu też towarzyszyła ciocia. żywo uzasadniała ona w kancelarii, że dobro chłopca i „jej" rodziny wymaga, aby był przyjęty do zakładu i pozostał w nim przynajmniej 1 rok. Tymczasem chłopiec stał wystraszony i rozmyślał nad swoim przyszłym losem. Po spisaniu protokołu, gdy przedstawiciel Władzy po spełnieniu swego obowiązku, zabierał się do odejścia a ciocia ostatnim spojrzeniem dała chłopcu napomnienie — nasz wychowanek, spostrzegłszy w kącie kancelarii przewracające się potrącone przez kogoś krzesełko, podbiegł, aby podnieść. W tym momencie spotkał się jego wzrok z okiem wychowawcy, który przez cały czas indagowania stał jako neutralny obserwator na uboczu. To spotkanie się oczu było tak serdeczne, że od tego momentu zawiązała się nić przyjaźni między wychowawcą a tym, który przybył napiętnowany.

Na tej przyjaźni budowano wszystko. I w niejednym wy-

padku tak było. W pedagogice miłości, dobroci i życzliwości cecelował Brat Wincenty, który był z małymi przerwami przełożonym Zakładu od początku jego istnienia. Podam jeszcze inny — ale jeden z wielu — wypadek! Awantura. Przyprowadzają winowajcę do przełożonego. Oskarżają. Obwiniony silnie zdenerwowany — gotów reagować odruchowo. Brat przełożony — ku zdumieniu wszystkich — odkłada sprawę „do jutra", a sam idzie do kaplicy, by się również „uspokoić". Do oznaczonego czasu wszyscy mieli czas ochłonąć — a winowajca, zamiast od-



Na niecie: Byli wychowankowie w Zakopanem.

ruchowo reagować — sam uznał swój błąd i wcześniej przeprosił tych, których obraził. Ten fakt nie tylko zlikwidował zajście, ale był początkiem głębszego przywiązania się wychowanka do wychowawców i postępu nad wyrobieniem własnym.

Tak wygląda pedagogika albertyńska. Taką pedagogiką tłumaczy się przywiązanie wychowanków do zakładu. którzy jakkolwiek przed laty go opuścili i po założeniu własnych ognisk rodzinnych są już wychowawcami swych dzieci, — o zakładzie albertyńskim serdecznie wspominają i kilka razy do roku ze swoją rodziną go odwiedzają.

Rudolf Hajnos

JESIENNY DZIEŃ

Szary, jesienny, zwykły dzień...
cichy, posępny, smutny tak...
Na duszę pada jakby cień,
jakby jej czegoś było brak.

Rozkołysanych poszum drzew
płynie w samotną, cichą dal...
jakby pogrzebny, smętny śpiew
nieznany w duszy budzi żal...

Kroplą po kropli pada deszcz
o szyby — jednej, drugiej brzęk...
Idzie jesienny, zimny dreszcz
i budzi w duszy jakiś lęk.

Kwili gdzieś w krzewach biedny ptak,
może sierocą dolę ma...
Wokoło sennie smutno tak,
tylko żałośnie wicher gra...

Wstrząsa gałęźmi leśnych drzew,
dzikiej muzyki płynie ton...
Nuci z oddali smętny śpiew
rozkołysany wichrem dzwon..

Zwolna zapada szary mrok,
ścielą się linie ciemnych smug..
Czuję na sobie jakiś wzrok,
nie jestem sama — to mój Bóg!..

Jedno pragnienie tylko mam,
legnąć w mogile w cichym śnie —
ochotnie życie moje dam,
bo tam mój anioł wzywa mnie..

Niech grają wtedy wichry mi...
kiedy przestąpię nieba próg,
kroplą po kropli otrze łzy,
Swojemu dziecku dobry Bóg...

S. IMELDA G. *dominikanka*

Albertyni i ich wychowankowie.

(*Szkic ołówkiem — fragment*)

Nad brzegiem Wisły, na Zwierzyńca stronie stoi skromny, przeciętny w budowie i omal, że w czeluściach rzeki nie utonie... dom albertyński.

Rozgwar w nim wielki, wesoło snać bywa, bo dźwięki orkiestry codziennie usłyszysz, a wewnątrz rzesza chłopaków figlarna ugania w koło we wolnych godzinach.

To do nich, zda się, Chrystus ozwał się w te słowa: „Sierotą nie jest żaden z was, choć nie ma ojca, domu, bo ojcem mu jest niebios Pan a matką Ziemia miła, co go zbożami swoich pól jak mlekiem wykarmiła. A domem mu jest cały świat bez granic, bez końca; gdzie tylko sięgnie jego myśl, jak złota strzała słońca!"

Wśród rozbawionej gromadki mnichy w szarych habitach chodzą nieustannie jako anioły towarzyszące dziatwie.

Polscy Franciszkanie, bo Alberta miano przybrali i Jego habity włożyli na się z grubej włosienicy lnianej.

I porzucili rozkosze światowe, by ująć dłuto w spracowane dłonie i rzeźbić! Nie z drzewa ni kamienia wychodzi ich dzieło!

Wolę, charakter i umysły rzeźbią owe mnichy szare, a przede wszystkim czystości duszy żądają od młodzieży!

A kiedy praca zostaje ukończona, żegnają krzyżem swoich ulubieńców i błogosławią im na życia drogę, co kręto wije się pod górę.

A kiedy droga zmęczy już wędrowca i stanie czasem, by odpocząć trochę, wspomina owe przestrogi końcowe i pnie się dalej, śmiało na szczyt swoich marzeń.

EUGENIUSZ KALISZYNSKI

b. wychowanek

Ujsotv, 24. IX. 1937

Jak szli chłopcy na wojenkę.

W księdze dziejów naszego zakładu znajdzie się wiele pięknych kart, niestety dotąd jeszcze nie odkrytych, nieznanych już może tym, co teraz zajęli nasze miejsce. Niechże więc będzie mi wolno z okazji naszego jubileuszu odkryć jedną z nich, jaką jest niewątpliwie udział wychowanków zakładu krakowskiego w walkach o Polskę.

Odgłosy krwawej zawieruchy światowej, a zwłaszcza wieści o losach naszych legendarnych dziś legionów przenikały do nas — zamkniętych w murach zakładu — za pośrednictwem dzienników, opowiadań ludzi starszych, ale szczególnie dużo mówili nam o tym w szkole wieczorowej p. dr Florczyk i p. dyr. Hajnos. Lekcje historii były dla nas czymś najmilszym, ale zarazem czymś, co przyprawiało nas o długie chwile smutku, czy szczerego żalu. Dlatego wspominam o tym, bo właśnie taka jedna lekcja historii zdecydowała o tym, że już wkrótce opuścić mieliśmy mury naszego zakładu.

W r. 1918 po rozbrojeniu Legionów i po zajęciu Lwowa mieliśmy też taką lekcję na temat wspomnianych wypadków. Przejęci do głębi tragiczną dla naszej sprawy sytuacją, raczej ją wyczuwając niż rozumiejąc, zawiązaliśmy wśród siebie takie małe P. O. W. Żyliśmy zresztą zupełnie trybem wojskowym. Wtedy wrócił z frontu p. Koperka (późniejszy br. Idzi), który ku naszemu zadowoleniu i radości sprawiał nam tęgą „egzycyrkę". Rano urządzał pobudkę, potem gimnastykę i musztrę wojskową z kijami zamiast karabinów, marsze z piosnkami żołnierskimi. Nasze serca tak gorąco zagrzewane i ręce powoli zaprawiane do wojaczki rwały się do czynu. Postanowiliśmy (kilku starszych) iść śladem Staszka Bryla, który pod przybranym nazwiskiem zwiał po zdaniu matury do Legionów, Błachuta, Michalika, których z orkiestrą odprowadzaliśmy do przystanku, gdy odchodzili do wojska

Pewnego dnia stanęliśmy przed br. Starszym Wincentym, wówczas przełożonym zakładu, i zwierzyliśmy się z naszego zamiaru. Odpowiedział nam, że się zgadza, ale z troską o nasz los zapytał: „co będzie z wyzwolinami — (mnie np. brakowało 2 miesięcy do wypisu) — skoro już cech i wszystkie taksy opłacone". Wtedy ja odpowiedziałem szczerze, że jak wrócimy cało z wojny, to dokończymy praktyki.

Poszliśmy. Był z nami Józek Bieda, Franek Klimek, Jurek Nieczkowski, Franek Augustyn, Tomek Makowski, Karol Pałczoń, Zegadło Staszek, Borodzicz Ludwik, Stankiewicz Janek, Kowalczyński, Kruczkowski, Struzik, Józek Koczwara, Stefek Zapiórkowski. Zgłosiliśmy się w koszarach przy ul. Rajskiej, a stamtąd odesłali nas na Prądnik Czerwony. Zameldowaliśmy się tam u komendanta jako ochotnicy do wojska polskiego. Ten przyjął nas chętnie, ale kilku młodszych z braku odpowiedniego wieku odrzucił. Musieli odejść z żalem i wrócić do zakładu. Nie pomogły nasze zapewnienia, że potrafimy im pomóc, że razem wytrzymamy. Nas przydzielono do 4 i 5 p. p. leg. Wyfasowaliśmy umundurowanie i zostaliśmy żołnierzami.

Braliśmy udział w rozbrajaniu garnizonu austriackiego w Krakowie, pełnili służbę wartowniczą na dworcu, przy magazynach wojskowych. Pamiętam, jak z dworca krakowskiego odjeżdżał 15 pułk tzw. „Deutschmeistrów". Obłowili się porządnie i w składzie pociągu miały z nimi odjechać wyładowane wagony z kasami, sprzętem, żywnością. W chwili, gdy pociąg ruszał, odczepiliśmy te zdobyczne wagony i mimo okrutnego „verfluchtowania" wściekłych Niemców wagony zostały u nas.

Dalej już gnały nas zwykłe losy wojny. Pojechaliśmy w sukurs lwowskim „Orlętom", krwawiliśmy z Ukraińcami na kresach wschodnich, byliśmy pod Kijowem i bronili Warszawy. Z końcem 1920 roku mieliśmy postój w Baranowiczach w odwrocie z pod Berezyny. Mieliśmy gdzieś zająć stanowiska w dawnych okopach niemieckich. I tu spotkałem „czwartaka" Józka Koczwarę, kolegę z zakładu. Nie całowaliśmy się, ale tak serdecznie uścisnęli dłonie. Ogromnie cieszyłem się z tego spotkania, a i on nie mniej, bo mu się tak dziwnie oczy szkliły. Struzik jego kolega pułkowy wyjechał gdzieś służbowo. Razem siedliśmy i gwarzyli o naszym zakładzie, o naszych nauczycielach, o braciach, o tym, co oni teraz tam robią. Było to moje pierwsze i ostatnie spotkanie kolegi podczas mej wojaczki.

Tak to nasi chłopcy poszli na wojenkę. Niektórzy pozostali w wojsku. Stopnia oficerskiego w randze kapitana dosłużył się dr Bryl Stanisław. Porucznikami są Pałczoń Karol i Jaworski, chorążym został Struzik, odznaczony orderem „Virtuti Militari" i potrójnym nadaniem „Krzyża Walecznych". Sierżantami W. P. są koledzy Stankiewicz i Zapiórkowski.

Inwalidą został Koczwara Józek. Ofiarą krwi byliśmy gotowi spłacić dług, jaki wobec Krakowa i Polski zaciagnęliśmy.

KOSTECKI WŁADYSŁAW
b. wychowanek

Bratu Albertowi

Rzuciłeś, Mistrzu, pędzel i paletę,
By przywdziać na się szary habit mnicha!
Rzuciłeś piękny powóz i karetę,
Bo Ci furmanka wystarczyła licha!

Wstąpiłeś nocą w „ogrzewalni" progi,
Co gromadziła bezdomnvch w łachmanach.
I każdy nędzarz stał się dla Cię drogi,
Bo ich zbierałeś w najróżniejszych stanach.

Poszli Twym śladem ludzi poświęcenia,
W pogardzie świata rzuciwszy nazwiska;
Poczuli iskrę bożą oświecenia,
Aby przystąpić do nędzarzy z bliska.

Bracie Albercie! Twoje dzieło rośnie!
Urasta w zakon miłosierdzia — czynu.
A nasza Polska wita go radośnie,
Jak zwykła witać swych najlepszych synów!

Ujsoty,
24.IX. 1937.

E. Kaliszyński



Grób Brata Paschalisa.

Przedruk z wydanej książki autora pod niżej podanym tytułem.

Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia
Brat Albert.

Ciąg dalszy.

A to więc, że nocami płakał, a to że się tak świetnie uczył, że dostał raz srebny czy złoty medal, a to że ten medal wręczył mu osobiście (sic!) car Aleksander, kiedy szkołę zwiedzał. Poczem jest inny szczegół w biografiach, że po jednym powrocie na wakacje zruszczony był i mówił już tylko: papasza i mamasza, czem przerażeni rodzice natychmiast wycofali go z kadeckiej szkoły. Nie zgadza się to z prawdą, gdyż kiedy mały Adaś jechał nad Newę, ojciec już dawno nie żył. Wycofać go zatem musiała chyba stryjenka Petronela. I ona to oddała go do Puław na studia rolnicze. Czy już w tych czasach „zdradzał“: jak się to mawia, tatent choćby rysunkowy, jak wcześnie zdradzał jego rówieśnik maleńki Grottgerek, to niewiadomo. Z pacholęcych lat zachował się w tradycji rodzinnej tylko jeden jedyny szczegółik, to jest, że gdy chłopczyna była ciężko chora, matka staropolskim obyczajem ubrała go w habit zakonny i w takim habicie mały Adaś jakiś czas chadzał. Szczegół ważny, gdyż reminicencja tego stroju musiała mu pozostać, by kiedyś w spotęgowanej powrotnej formie się narzucić. W tym pierwszym habicie zakonnym chadzał mały Adaś już po Warszawie. Tu bowiem przeniosła się wdowa z dziećmi po śmierci ojca. Krótki czas mieli maleńki folwarczek Czernice nad Wartą, który sprzedali. a za uzyskany fundusz zakupiła rodzina realność w Warszawie, t. j. dom narożny na zbiegu Nowego Światu i Książęcej. W tym domu (dziś przebudowanym) przeszło dzieciństwo trzech braci i siostry rodzonej, staruszeczki, dziś jeszcze żyjącej w Radomiu przy zięciu inżynierze Jakubowskim.

Do tych czasów powinniby jakieś dane dorzucić ci krewniacy, co pozostali z rodziny Borzysławskich, Szraniawskich i Krzyżanowskich.

Styczeń r. 1863 zastaje siedemnastoletniego wyrostka w Puławach, gdzie wówczas jeszcze cały zespół nauczycielski był polski. Poszli więc z fuzjami i sztucerami do oddziału Frankowskiego. I odrazu do pierwszej niewoli. A kiedy z niej uciekł, dostał się w łapy Austriaków, którzy na jakiś czas osadzil go w Ołomuńcu, skąd także uciekł. W maju pod Krakowem organizował się i szykował szwadronek Zygmunta Chmielińskiego. I tu już poszło bardziej serio. Chmieliński wszedł po komendę Hauke-Bossaka, a Chmielowski został łącznikowym między komendantami. Przyszło już do regularnych bitw i potyczek w różnych kątach ziemi kieleckiej, a to pod Janowem Olkuskim Adam Chmielowski brał udział w znanej obronie młyna pod Hutą Szczerańską, pod Ociesękami, przy napadzie na Opatów, aż wreszcie i Chmielińskiego i Chmielowskiego dopadł wróg śmiertelnie. Chmielińskiego Zygmunta rozstrzelano na rynku

radomskim 12 grudnia. A nasz puławczyk ciężko ranny pod Trojaczyną dostał w nogę postrzał takiej siły, że trzeba ją było amputować. Legenda opowiada o wytrzymałości siedemnastoletniego chłopca omal cuda, a to że operowany był bez usypiania, a to że sam trzymał świecę w ciemnej izbie ambulansowej, a to znowu, że prosił tylko, aby mu wolno było palić cygaro podczas odcinania nogi... Czy są to szczegóły ścisłe, rzecz całkiem obojętna. W każdym bowiem razie bez nogi, z protezą, przeżył ten człowiek lat 53 w ustawicznym ruchu od świtu do nocy... Poverello z Asyżu miał obie nogi.

Z wojskowego szpitala więzieniego został wykradziony, potem przekradł się zagranicę.

Następują lata studiów i podróżowania, Paryż, Londyn, politechnika w Gandawie, kształcenie się na inżyniera, krótkie, nijakie, bezcelowe. I wtedy to odkrywa w sobie Adam Chmielowski talent malarski. Przy jakiej okazji, jaką drogą, pod czyim wpływem, to wszystko szczegóły całkiem nieznane, niewybadane, mgławicowe, niejasne. Było to po roku 1864-ym w Monachium, a ciągnie się aż do roku 1876. Za pierwszym zawodem w Monachium znajduje się wraz ze swoimi braćmi Stanisławem i Marianem, którzy przyjeżdżają dla kształcenia się w sztuce rytownictwa i litografii, co udaje im się do tego stopnia, że po powrocie do Warszawie przez kilka lat prowadzą własny zakład litograficzny. Sam zaś Adam Chmielowski studiuje zapewne u Wagnera, gdyż tam studiowali wtedy wszyscy Polacy. Jest to era zmierzchu Pilottiego, Kaulbacha, Deffreggera a pierwsze brzaski Boecklina, Lenbacha, Dieffenbacha i jeszczə jednego malarza, na którego przy malarzn Chmielowskim trzeba zwrócić uwagę, to jest Fritza Uhdego. Francuzi odkrywają w tych latach powietrze i słońce (plein air); Paryż malarski korzy się także przed religijnymi freskowymi scenami Puvis de Chavannes, a Monachium staje ze zdumieniem przed realistycznymi koncepcjami udzisiejszonego Chrystusa, pędzla zuchwałego Uhdego, przed scenami z życia Chrystusa żyjącego wśród dzisiejszych biedaków i nędzarzy. To trzeba zapamiętać! Młody malarz Chmielowski mieszka potem z braćmi Gierymskimi, Maksem i o cztery lata młodszym Aleksandrem. Z rówieśnych są już Brandt i Kowalski, Chełmoński, Rosen, Podkowiński, ale przyjacielskie stosunki łączą go z Gierymskimi, rewolucyjnymi plenerzystami. Studiuje sztukę widocznie bardzo poważnie i w głąb problemów wchodząc, skoro w kolonii malarskiej zaczyna uchodzić za rzeczoznawcę, jurora i ostatnią decydującą krytyczną instancję. Co i jak maluje, wiele nie wiemy, i do jakich rezultatów w technice dochodzi. Toteż niemile dotyka w biogragiach oficjalnych a przygodnych ot taki szczegół, jakby król Ludwik (II??) zachodził do pracowni Chmielowskiego, aby podziwiać jego prace. Jest to fikcja.

Król bawarski zainteresował sie Chmielowskim, ale nie malarzem, a... łyżwiarzem! Tak! Ten młody człowiek daje bowiem dowód rekordowej wytrzymałości i siły woli nawet w takim drobnym szczególe. Miłując sport łyżwiarski, ślizgał się na stawie w Angielskim Ogrodzie, doczepiając łyżwę do swej protezy, co wywołuje taką sensację w mieście, że pewnego razu przyjeżdża król, aby widzieć na własne oczy Polaka,

który mimo sztucznej nogi uprawia łyżwiarkę. Nie obrazami tedy tego młodocianego elewa zainteresował się król, a łyżwami powstańca polskiego. Większą rolę niż jako rezoner artystyczny, jako animauter i mentor. Z taką też opinią w dwa lata po przedwczesnej śmierci biednego Maksa Gierymskiego wraca Chmielowski do Warszawy. Jest to Warszawa z lat osiemdziesiątych: Hurki i Marii Andrejewny, Gersona... i Kostrzewskiego... Andriollego, Warszawa Pługa i Deotymy, „Kłosów” (Jenikie) i gościnnych występów Modrzejewskiej. Pozytywizm i... spirytyzm, „Okoński” i Ochorowicz. Młoda literatura grupuje się koło „Nowin”, gdzie piszą Świętochowski, Dygasiński, Smoleński, Segietyński. W młodym malarstwie dla publiczności wschodzi gwiazda... Żmurki a prawdziwymi nowatorami - bojownikami są Masłowski, Chełmoński, Maszyński, Piotrowski Antoni, Podkowiński, no a przede wszystkim burzliwy i kłótliwy Litwin Stanisław Witkiewicz. Z tym ostatnim znają się już od Monachium, teraz się zaprzyjaźniają i mieszkają nawet razem w hotelu Europejskim na czwartym piętrze, gdzie wonczas były dla panów artystów pracownie. Chmielowski jest nadal pod wpływem nieodżałowanego zmarłego Gierymskiego, maluje zapewne taksamo dziwnobarwnie „ręczniki ze sztymungiem” (podłużne obrazy), coraz więcej pod znanemi sugestiami Witkiewicza (t. zn. „Kaśka skrobiąca rzepę”). Miewa nawet prelekcje publiczne o postępach malarstwa na Zachodzie.

Ale długo w prowincjonalnej, lekkiej a smętnej Żmurkowo-Lüdowo-Siemiradzkiej Warszawie nie jest zdolny wytrzymać i przenosi się do artystycznego Krakowa (1876).

*

Kraków lat osiemdziesiątych to istotnie już raczej stolica Polski, bo to i Heidelberg, Oxford i Weimar i Florencja, no a przede wszystkiem jedno wielkie Faubourg Saint-Germain, jakieś bourgetowskie miasto noblessy de la hutte naissance i to bez żartów, na całkiem serio. Uwypuk lić i naświetlić musimy ten właśnie motyw, ponieważ życiowa misja i wielka idea człowieka Chmielowskiego jednak zrodzić się mogła tylko jako przeciwstawienie do świata dostatku, dobrobytu, majętności i bogactw.

I otóż był raz jednak, był raz taki moment, aurea aetas, takie złote dziesięciolecie w życiu tego dziś najbiedniejszego miasta kuli ziemskiej. Do „małego Rzymu”, do miasta kościołów i pamiątek zjechało i dało sobie rendez-vous moc rodzin ziemiańskich, wielko-obszarniczych z całych kresów wschodnich spod Moskala. W owych latach był Kraków Arkadią arystokracji z Wołynia, Podola i Litwy. Czapscy z Kurlandii (wnuczka Stackelberga), Emerykowie, kniaź Heliodor Czetwertyński przy ulicy Batorego, Pusłowscy na Kolejowej, Ledóchowscy w Puszetówce. Tyszkiewicze i Stadniccy na Grodzkiej, Tarnowscy-Braniccy na Szlaku, Konstanty Przeździecki na Wolskiej, Wołodkiewicz na Lubiczu, księżna Marcelina Czartoryska od Chopina na Woli Justowskiej, Michałowski w pałacu Larischa, Pawlikowscy, Dzieduszyccy na Kleparzu, Badeniowe w Balicach, Mańkowscy, — wszystko z kresów, naprawdę bogaci ludzie. Raz-

poraz wielcy mecenasi sztuki to Lanckorońscy z Chłopów, to Raczyńscy z Rogalina, to Cieszkowski, syn filozofa a sam milioner. Dodajmy do tego lokalną dzielnicową magnaterię, to cztery rodziny Potockich, dwie rodziny Wodzickich, nafciarzy Skrzyńskich, dalej Popielów, dodajmy przyjeżdżających cudzoziemskich krewnych, książąt Orleańskich do Czartoryjskich, Falconierych do Mańkowskich, Windischgraetzów, Odescalchich. Kiedy Matejko prezentował nowy obraz historyczny w Sukiennicach, to pod obrazem bywało stali prawnukowie tych różnych, co na „Kazaniu Skargi" lub na „Rejtanie". Taksamo kiedy pierwsze wizyty składał Krakowowi Sienkiewicz, otaczali go w salonach Jabłonowskich ci, których antenaci figurowali w Trylogji a kuzyni w... „Bez Dogmatu". I nie była to jakaś noblessa zbiedniała, grandzi i hidalgowie na wygnaniu, ale to byli bardzo zasobni i majętni latyfundyści, którzy dla edukacji synów i córek, dla rozkosznej bliskości Wiednia, Karlsbadu, Gmunken, Ischlu, Wenecji, Riviery, Monaco przeżywali w podwawelskim Saint-Denis swoje zimowe seasony. Ale nietylko na karnawały, na które panny na wydaniu zjeżdżały, czasem po trzy siostry, tak zwane „fornalki", nie To była elita nietylko pekuniarna, ale w dużym procencie intelektualna. Taki Emeryk Czapski, Stanisław Tarnowski, Paweł Popiel, Raczyński z Rogalina, Jerzy Moszyński, Z. Michałowski, Jerzy Mycielski, Morawscy, trzej Górscy, Marian Sokołowski, L. Dębicki, Chłapowscy (Modrzejewska), Konstanty Przeździecki, to intelekt w intelekt, indywidualności świetle i oświeceniem europejskiem polaryzujące.

Ewokujemy tu tę grupę socjalną, ten bourgetowski świat i towarzystwo dziś bezpowrotnie już rozpierzchnięte i zagrzebane z tego powodu, że jeżeli nie w niem samem, to blisko niego znalazł się i przeżywał pewien okres swego żywota przyszły Brat Albert. Przypomina to w swym przepięknym wspominku dzisiejszy metropolita Szeptycki, wówczas (jak i ja jeszcze pamiętam) smukły, szykowny porucznik ułanów, aranżer prowadzący tańce na balach w „paradnej" sali hotelu Saskiego. Z malarzem Chmielowskim spotykał się na sympozjonach u Konst. Przeździeckiego na Wolskiej, gdzie synowie historycznych rodów zaprzyjaźnili się z uczonymi, z literaturą, ze sztuką. Dodajmy do tego, że w tym krakowskim high-lifie mocno zkresowiałym i wołyńsko-poleskim przewijało się też wiele osób duchownych o głębokiej zachodniej kulturze i wiedzy, jak ksiądz Załęski T. J., ksiądz Jackowski, ks. Bratkowski, brat rodzony ułana Szeptyckiego Kazimierz (ojciec Klemes), ksiądz Pawlicki, ks. Drohojewski, ksiądz Morawski, redemptorysta Łubieński, no i pierwszy czerwony abbé socjalizujący ksiądz Jan Badeni, któremu należy w późniejszym przeobrażeniu Adama Chmielowskiego na Brata Alberta dość wielki wpływ przypisać.

Ciąg dalszy nastąpi.

Z walk o Lwów

(Wspomnienia Ks. Mariana Jakubowskiego, Tercjarza, kapelana (III Odcinka) placówki opatrunkowej pod Górą Stracenia w Zakładzie Braci Albertynów, przy ul. Kleparowskiej l. 15).

Upadek Austrii zastał mnie kapelanem przy austriackim wojskowym szpitalu Czerwonego Krzyża w Rabce, koło Nowego Targu. W czasie likwidacji szpitala. odjechałem z Rabki do Lwowa, zajeżdżając chwilowo w gościnę do Zakładu Braci Albertynów, przy ul. Kleparowskiej 15, z którymi zaznajomiłem się w Krakowie. Tuż po moim przyjeździe do Lwowa, rano 1 listopada 1918 r. dowiedziałem się, że Ukraińcy zajęli miasto podstępnie, a rozlatująca się Austria, sama im w tem dopomogła. Przygnębiony tem strasznie, wyszedłem zaraz do miasta i przekonałem się o smutnej rzeczywistości.

Jedyną pociechą była dla mnie wieść o dzielnej I. załodze w szkole Sienkiewicza. Strzelanina ze szkoły Sienkiewicza i z Dworca kolejowego, którą słyszałem, dodawała mnie i moim towarzyszom otuchy i nadziei, wśród gwałtów jakich się Ukraińcy w mieście dopuszczali.

Strzelanina karabinowa i huk ręcznych granatów, coraz bardziej się zbliżały, tak, że wszystkie szyby w Zakładzie trzęsły się od huku. — Dnia 4 listopada raniutko, wpadli do Zakładu Ukraińcy, poszukując Legjonistów i odgrażając się, że wszystkich wymordują. Huk coraz się przybliżał, nasi opanowali Górę Stracenia. Ukraińcy z Zakładu uciekli, a zaraz za nimi wtargnęli tu Obrońcy Lwowa z okrzykiem: Lwów musi być nasz..., ciesząc się, że ten ważny punkt już zajęty. Przełożony Zakładu Braci Albertynów Brat Józef Kleban, gościł naszych obrońców, zaopatrując ich we wszystko, o co tylko prosili.

Wówczas to razem z innymi wybiegłem na Górę Stracenia. Na samym początku natknęliśmy się na jednego zabitego z naszych, oraz spotkaliśmy pięć biegnących sanitariuszek z noszami i chorągwią Czerwonego Krzyża. Przyłączyłem się do nich, a porwawszy na nosze pierwszego ciężko rannego młodego chłopca nieznanego mi nazwiska, biegliśmy, szukając bezpiecznego miejsca. Ukraińcy zasypali nas na Górze Stracenia gradem kul z koszar Ferdynanda i z Cytadeli. Z rannym musieliśmy

uciekać ciągle zasypywani kulami i szukać dla niego schronienia, nie wiedząc, gdzie go złożyć. Po zaopatrzeniu i umieszczeniu ciężko rannego w Zakładzie Braci Albertynów, wybiegłem z sanitariuszkami, do których przyłączyły się i inne dziewczęta na ul. Wolność, aby zbierać rannych. Gdyśmy weszli w ulice, Ukraińcy sypnęli na nas tak strasznym ogniem karabinowym z koszar Ferdynanda (Bema), że nie mogliśmy przejść na ul. Janowską. Żydzi dopomagając Rusinom, zaczęli prażyć nas ogniem karabinowym z okien kamienic w ul. Wolność, mimo chorągwi Czerwonego Krzyża. Wzięci z trzech stron w ogień, schroniliśmy się do kamienicy pod l. 15.

Czekaliśmy w kamienicy, ażeby ogień troszkę zwolnił i żeby dalej pójść można było szukać rannych. Niepodobieństwem jednak było wyjść na ulicę. Ukraińcy z koszar Ferdynanda (Bema) a żydzi zaś z okien domów, zasypywali naszą kamienicę gradem kul, które biły o okna, a w szczególności o bramę i próg tak, że trudno było wychylić się. — Widzieli nas wchodzących do tego domu i mimo chorągwi Czerwonego Krzyża nie dali nam wyjść. Noc zapadła, musieliśmy więc przenocować pod tym numerem. Ja przenocowałem u jednego kapitana austriackiego, który wstąpił do polskiej armii, ze swoim synem, pielęgniarki porozmieszczały się w kamienicy, większość ich jednak spędziła noc siedząc na schodach.

Na drugi dzień tj. 5 listopada o świcie, zerwaliśmy się wszyscy i mimo ognia przybyliśmy zdrowo do Zakładu Braci Albertynów, z którego powstała placówka opatrunkowa. Ja byłem nie tylko kapelanem, ale zwykłym sanitariuszem, tragarzem, posłańcem itp. Rozpoczęła się praca wśród najstraszniejszego ognia, gdyż Zakłady Braci Albertynów jak i SS. Albertynek przy ul. Złotej ostrzeliwane bezustannie przez Ukraińców z trzech stron do tego stopnia, że obydwa zakłady i dom w którym leżeli ranni, podziurawione były straszliwie kulami. Kule przebijały ściany wszystkich izb, w których leżeli ranni, gruz się sypał na rannych i na nas tak, że musieliśmy się przenosić z jednej izby do drugiej. Chłopcy w Zakładzie chowali się w piwnicach, a dziewczęta i zakonnice w zakładzie Sióstr, dzień i noc siedziały w klatce schodowej, gdyż kule armatnie rozwaliły całą ścianę, wszystkie szyby w obu zakładach były powybijane. Dziedzińce w obu Zakładach były poprostu

zasypane kulami karabinowymi. Tak było przez cały czas walki od dnia pierwszego, aż do ostatniego, tj., do oswobodzenia Lwowa.

W ogniu pracowaliśmy przez cały przeciąg walki i mimo wszystko z najlepszym humorem. — Dnia 5 listopada pochowałem prowizorycznie śp., por. Kurdybana na Górze Stracenia. W czasie pogrzebu Ukraińcy zasypywali nas huraganowym ogniem z koszar Ferdynanda i z Cytadeli, która była w ich rękach, tak że obrzęd pogrzebowy musiałem jak najkrócej odprawić, albowiem kule świstały nam koło głów i padały koło zwłok nieboszczyka. Komendą naszej placówki była Góra Stracenia, Komendantem głównym pododcinka był por., a obecnie pułk. Dr Abraham.

Od pierwszej chwili otwarcia tej placówki, aż do zakończenia walki, pracowaliśmy narażeni na każdym kroku na niebezpieczeństwo śmierci, a poczciwi Bracia Albertyni i Siostry Albertynki, dopomagali nam w czem tylko mogli, karmiąc i odziewając rannych i nas, bez względu na ogromne straty, jakie przez to ponosili. Przełożony Braci Abertynów Brat Józef Kleban, pełnił nawet funkcje żołnierza, odbywając wartę i kierując karabinem maszynowym. Ludność okoliczna nie mogąca się dostać do miasta, przychodziła do Zakładu po żywność, w którą Bracia i Siostry wszystkich zaopatrywali. — Rannych było dużo, nawet małych dzieci, albowiem kule ukraińskie zasypując miasto, nikogo nie oszczędzały. Obydwaj lekarze placówki Dr Krajewski i Dr Czelny, zaopatrywali rannych, których ja przenosiłem wraz z dzielnymi siostrami, z którymi chodziłem zawsze po rannych, obchodząc wszystkie punkty odcinka wśród gradu kul. Ukraińcy gdy nas tylko spostrzegli, obsypywali kulami tak, że nieraz musieliśmy się staczać z gór po rowach, co też wywoływało u mnie jakoteż u sióstr wesoły humor. Oprócz tego biegałem również wśród ognia po Najśw. Sakrament dla ciężko rannych, to do Sióstr Albertynek to do domu inwalidów, to do szpitala epidemicznego, to na placówkę przy ul. Bema, zaś do szkoły Konarskiego i Sienkiewicza po bieliznę i opatrunki, żywność i wino dla rannych, co przenosiłem na własnych plecach. Chodziłem również po rozkazy do Komendy odcinka i głównej komendy śp., bryg. Mączyńskiego. Wszystkie najprostsze nawet czynności spełniałem z największą przyjemnością ciesząc się,

że doczekałem się wreszcie tego o czem jeszcze w dzieciństwie marzyłem, to jest, by widzieć zmartwychwstałą Polskę i służyć w polskim wojsku.

Nie będę tu nic mówił o zasługach i poświęceniu się kom. śp., bryg. Mączyńskiego, p. pułk. Abrahama, śp., por. Zajączkowskiego, Wąsowicza i innych, o których wszyscy wiedzą, ale oddaję cześć i hołd wszystkim oficerom, podoficerom i żołnierzom, którzy osłaniali swoimi piersiami placówkę odpowiadając strzałami na strzały wrogów. Niektórzy zginęli śmiercią bohaterską, niektórzy zostali ranni. — Pamiętam dobrze jak młody dzielny chłopczyna śp. Ignaś Zawadzki przyprowadził raz żyda uzbrojonego i odpocząwszy chwilę u mnie po niewyspanej nocy, pobiegł na placówkę bojową. Już następnego dnia wieczorem przyniesiono go z przestrzeloną piersią, a gdy go dr Czelny pocieszał, że żyć będzie, on odpowiedział: „cóż mi z tego, że żyć będę, ale już nie będę mógł strzelać". — Wnet jednak wyzdrowiał i poszedł na front, gdzie zginął pod Zadwórzem w 1920 r.

Metryki śmierci poległych i zmarłych odsyłałem na Technikę do szpitala, gdzie są zapisane. Z tych, których przyniesiono już nieżywych, przypominam sobie jednego legionistę Józefa K. a z ciężko rannych chorąż. Nekrasza. Pamiętam, że w czasie walki ochrzciłem ciężko ranną żydówkę, na własne jej żądanie, a po przywiezieniu jej na Technikę zmarła (Klara Scharf).

Mimo ciągłego ognia i różnych ciężkich przejść, czasy te wspominam mile, bośmy pracowali wszyscy w najlepszej zgodzie i miłości braterskiej, z pomocą dzieci św. O. N. Franciszka z pod chorągwi br. Alberta. Część im za to, a w szczególności dzielnemu Bratu Józefowi Klebanowi i siostrze Władysławie przełożonej SS. Albertynek. W czasie zawieszenia broni odwiedzałem w szpitalu na Technice wszystkich rannych, których w czasie walki po zaopatrzeniu tam odesłałem, względnie zaniosłem. Dzielna sanitariuszka śp. p. Ola Maryniakówna, którą jeszcze ranną odwiedziłem na Technice, wtedy właśnie została pochowaną.

W czasie zawieszenia broni obchodziliśmy wesoło imieniny p. dr Stanisława Czelnego. Nie brakło również rozmaitych scen komicznych, wywoływanych w nocy, jakiemś urojeniem przewidzeniem, co jednak w niczem nie mąciło harmonii i pogodnego nastroju.

Po ukończeniu zawieszenia broni, rozpoczęła się na nowo praca, walka przez ostatnie dnie, tj., do dnia 22 listopada. — W czasie zawieszenia broni, Komenda Góry Stracenia przenio-praca, walka przez ostatnie dni, tj., do dnia 22 listopada. — W tymże czasie przybyła naszym obrońcom odsiecz z Przemyśla, Krakowa, Warszawy, tak, że po ukończeniu zawieszenia broni, mogli rozpocząć skuteczną ofenzywę. Rozpoczęła się walka na nowo, Ukraińcy zasypywali naszą placówkę ogniem armatnim, karabinowym i ręcznych granatów. Zdawało się, że lada chwila cały Zakład będzie zrównany z ziemią, ale nasi obrońcy, mając już pomoc i działa, odpowiadali znakomicie ogniem, tak, że 22 listopada rano, Lwów znalazł się wolnym od Ukraińców.

Po oswobodzeniu miasta, rannych z naszej placówki przeniesiono na Technikę, lekarze i sanitariusze poszli dalej w służbę wojskową, siostry sanitarne jedne zostały, inne wróciły do domów. Ja zaś rozkazem superioratu wojskowego i Naczelnego Dowództwa N. D. W. P., zostałem przydzielony jako kapelan do szpitala wojskowego epidemicznego i do Domu Inwalidów wojskowych przy ul. Kleparowskiej l. 27, gdzie też byłem stacjonowany. Następnie zostałem przydzielony do Sądu Wojskowego D. O. G. Lwów i do Sądu Polowego D. O. E. Lwów, do Legionistek i batalionów wartowniczych, a dnia 8 lipca 1920, odszedłem do Brodów, w stronę frontu bolszewickiego.

Poległym i zmarłym cześć!

Nasze archiwum

Co piszą o Bracie Albercie?

W „Polskim Słowniku Biograficznym" (wydawnictwo *Polskiej Akademii Umiejętności* w Krakowie) zarys biograficzny Adama Chmielowskiego (Brata Alberta) opracowali *ks. rektor Konstanty Michalski prof. U. J.* i *Feliks Kopera* dyr. muzeum Narodowego w Krakowie. W tej niezwykle cennej pracy najwybitniejszy znawca życia Brata Alberta ks. K. Michalski zebrał krótko na podstawie swych poszukiwań to wszystko, co dziś możemy wiedzieć o Bracie Albercie, podając wiele nowych, ciekawych szczegółów, które wreszcie uzupełniają

luki w dotychczasowych biografiach. Dyr. F. Kopera scharakteryzował drugi okres życia Brata Alberta, t. j. jego twórczość artystyczną. Na końcu podana jest literatura dotycząca Brata Alberta,.

W polskiej prasie franciszkańskiej obserwujemy coraz żywsze zainteresowanie postacią Brata Alberta w ślad za znamienną rezolucją Rady Głównej III Zakonu św. Franciszka, dotyczącą popierania starań o beatyfikację i tworzenia „Kół Przyjaciół Dzieła Brata Alberta". Ostatnio mamy do zanotowania bardzo sympatyczny artykuł w *Pokój i Dobro* (oo. Kapucyni — Kraków) o Kołach Przyjaciół oraz w *«Kalendarzu Franciszkańskim» na r. 1938* (oo. Franciszkanie — Panewnik p. Katowice) zarys biograficzny Brata Alberta w cyklu: wielcy tercjarze Polacy.

W „Tęczy" (Poznań) *Wojciech Piotrowski* drukował w czerwcowym zeszycie swoje wspomnienia, między którymi poświęcił sporo miejsca Bratu Albertowi.

W zbiorze utworów na zebranie propagandowe „Caritas" (nakł. *Związku «Caritas» w Tarnowie*) znalazła się piękna recytacja *«Prawda o Bracie Albercie»*. Broszura ta została przygotowana na „Tydzień Miłosierdzia" w diecezji tarnowskiej i dobrze się przysłuży sprawie szerzenia kultu Brata Alberta na tamtejszym terenie.

Dr. Feliks Koneczny, znany historyk, napisał obszerną pracę p.t. *«Filary święte dziejów i spraw narodu polskiego»* w której biorąc sobie za przewodników świętych patronów naszych przejdzie całą historję Polski od czasów świętych apostołów słowiańskich Cyryla i Metodego aż do tych wzniosłych postaci, które sami jeszcze pamiętamy, oczekujących beatyfikacji: ks. Markiewicza, o. Rafała Kalinowskiego, twórcę „Albertynów" Adama Chmielowskiego (Brata Alberta) i wielu innych. Praca dr. Konecznego wyjdzie nakładem wydawnictwa Tow. św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowym.

Br. Fidelis z Łodzi kapucyn wygłosił w Zakroczymiu referat o Bracie Albercie podczas akademii, a który za pośrednictwem br. przeł. Viatora przesłał do naszego archiwum.

Br. przeł. Viator przesłał kilka *wvcinków* z pism stocznych, kolekcje reprodukcji malarzy: *Wyczółkowskiego, Chełmońskiego, i Brandta* oraz rocznik *«Tęczy»*.

Br. Władysław oddał do archiwum «*Wypisy Polskie*» Wójcickiego z czytanką o Bracie Albercie.

Brat Albert w sztuce.

Bar. Ludwik Puget z Krakowa kończy obecnie płaskorzeźbę przedstawiającą Brata Alberta, która na polecenie p. prez. m. Kaplickiego umieszczona zostanie w nowym schronisku dla ubogich Krakowa w Dębnikach.

Michalina Janoszanka pracuje nad portretem Brata Alberta (naturalna wielkość), który pragnie ofiarować również dla wspomnianego wyżej schroniska albertyńskiego.

Ks. dr. Adam Popkiewicz zawiadomił nas, że w jego kościele parafialnym (*Cerekiew p. Radom*) jest na ukończeniu obraz p. t. «*Polska — Matka Świętych*», na którym sportretotowany zostanie także Brat Albert.

Z Muzeum Narodowego w Warszawie za staraniem br. przeł. Viatora otrzymaliśmy fotografie obrazów mal. przez Brata Alberta, mianowicie «*Ogród miłości*», «*Na posterunku*», oraz *portret A. Segietyńskiego*.

Szukamy:

«*Ateneum*» 1876 t. II z artykułem Brata Alberta „*O istocie sztuki*“ *Dzwonek III Zakonu św. Franciszka*» 1917 kwiecień, maj, czerwiec.

«*Tęcza*» Poznań 1937 czerwiec nr. 6.

«*Sztuka i krytyka u nas*» nap. Witkiewicz 1899.

Właśig.



Mal. Brat Albert. Z Muzeum Narodowego w Warszawie

Ogród miłości.

Kronika Albertyńska.

B u l o w i c e.

W domu nowicjackim odbyły się w dniach od 29 IX do 3 X b. r. rekolekcje w czasie których nauk udzielał ks. red. Kobierski Jan z Włocławka. W przeddzień uroczystości św. Franciszka z Assyżu złożyli śluby wieczyste: br. przeł. Stanisław, br. Antoni, br. Bernard, br. Feliks oraz trzyletnie br. Paweł.

K a l i s z.

W najbliższym czasie nastąpi w Kaliszu otwarcie nowej placówki humanitarnej, oddanej przez Gminę Zgromadzeniu Braci Albertynów.

K r a k ó w — Dom macierzysty.

W dniu 9 października odbyło się zebranie założycielskie „Związku Przyjaciół Dzieła Brata Alberta", na którym przyjęto statut. Zebraniu przewodniczył projektodawca tej organizacji ks. kan. mgr. H. Weryński. Po zatwierdzeniu statutu przez władze administracyjne rozpocznie swą działalność Związek, który ma być trwałym upamiętnieniem 50-letniej rocznicy założenia Zgromadzeń albertyńskich.

K r a k ó w — Zwierzyniec.

26 września b. r. rozpoczęło swój rok pracy zakładowe p. w. Do hufca należy obecnie 28 wychowanków, a instruktorami są: podchor. rez. Figiel Wł. i podchor. rez. Offerta. Poza pracą wyszkoleniową hufiec zakładowy przygotowuje przedstawienie „Orlęta" celem zdobycia pieniędzy na wyjazd do Zakopanego na kurs narciarski.

29 września delegacja wraz z orkiestrą złożyła życzenia ks. kapel. M. Wojtaszkowi oraz p. Michalinie Janoszance, wielkiej dobrodziejce naszego zakładu i współpracowniczce „Głosu Brata Alberta".

2 października b. r. w kościele PP. Norbertanek na Zwierzyńcu odbył się ślub p. Romany Dudówny z p. Jachimskim Franciszkiem b. wychowankiem naszego zakładu. Związek pobłogosławił ks. Józef Zwardoń w asyście OO. Franciszkanów.

3 października z okazji święta św. Franciszka w naszej kaplicy odbyła się całodzienna adoracja a popołudniu uroczysta akademia. Na program złożyły się przemówienia ks. dr. Ferdynarda Machaya i p. dyr. R. Hajnosa, deklamacja zbiorowa wychowanków p. t. „Pieśń słoneczna św. Franciszka" i solowa „Wilk z Gubbio" wych. Lachocki oraz śpiew i orkiestra zakładowa.

Ś. p. Brat Konrad albertyn

Ilekroć przychodzi mi pisać o śmierci albertyna, tylekroć nasuwa mi się porównanie ze śmiercią żołnierza na posterunku. Obydwaj giną dla wzniosłej idei i po pięknej walce odchodzą z tego świata cicho — bohaterowie bezimienni, nieznani. Zwłaszcza jeśli śmierć wyrwie z szeregów albertyńskich takiego „żołnierza Bożego" jakim był ś.p. brat Konrad.

Urodził się w r. 1881, a w r. 1927 zaciągnął się ochotniczo w szeregi albertyńskie. Pierwszym jego posterunkiem było przytulisko w Warszawie na ul Dzikiej. Ciężkie, może nawet najcięższe warunki pracy w domu noclegowym dla tylu bezdomnych Warszawy nadszarpnęły poważnie jego zdrowie. Został przeniesiony do Stanisławowa. Niedługo tam pracował, bo choroba rozwijała się coraz więcej. Pragnął umrzeć w Krakowie, w domu, gdzie umierał Brat Albert i przyjeżdża do Krakowa. Zmarł 5. IX.w szpitalu św. Łazarza.

W ostatnim dniu pytali go bracia, czy ma jakie życzenie. Nie miał żadnych, tylko cicho się skarżył, że boli.

9 września ponieśli go współbracia zakonni na cmentarz rakowicki, i złożyli w grobie dawniej zmarłego brata Franciszka.

Po dziesięciu latach albertyńskiej posługi niech odpoczywa w pokoju.



Przez dziesięć lat codziennie był z nami. Punktualnie o tej samej porze wieczorem przechodził próg naszej furty, a zjawienie się Jego było hasłem do znoszenia instrumentów i rozpoczęcia próby orkiestry. Przywykliśmy do tego, jak do spożywania chleba i nie wyobrażaliśmy sobie, by kiedyś mogło być inaczej, by kiedyś mogło zabraknąć właśnie tego człowieka, z którym historja i rozwój naszej orkiestry złączyły się niepodzielnie. Przecież był on przepysznym okazem zdrowia i uosobieniem nie zmordowanej pracy. Od wczesnego rana do późnej nocy pracował stale i był dla nas pod tym względem naprawdę pięknym wzorem.

Aż jednego czerwcowego wieczoru nie przyszedł. Dziwna cisza zapanowała wieczorną porą w zakładzie i wszyscy odczuwali, że coś poważniejszego musiało zwykły porządek naszego życia zburzyć. Nim dowiedzieliśmy

się o chorobie naszego kapelmistrza, doszła nas straszna i bolesna wieść, że już nie żyje.

Braliśmy udział w jego pogrzebie. W ostatniej drodze towarzyszyli Mu koledzy, przyjaciele, znajomi, orkiestra z oddziałem honorowym Poczt. P. W. której był twórcą i kapelmistrzem. Ostatnio ś. p. Atamaniuk był urzędnikiem w Dyrekcji P. i T. w Krakowie. Nad grobem jego orkiestra zagrała marsza żałobnego stosownie do Jego ostatniego życzenia. Ten smutny obrzęd, to rzewne wzruszenie i żal, — jakie wyczuwało się u wszystkich uczestników pogrzebu, świadczyły wymownie o tym, że ś. p. Atamaniuk cieszył się w Krakowie nie tylko popularnością i sympatią, ale że zobowiązał sobie darami swego serca wielu, wielu ludzi, którzy kiedykolwiek się z Nim spotkali.

Kapelmistrzem orkiestry naszego zakładu został w r. 1926, kiedy por. Węgrzynowski został służbowo przeniesiony z Krakowa. Był wtedy sierżantem W. P. i prowadził orkiestrę 5 baonu saperów.

Ś. p. Atamaniuk był bardzo zdolnym muzykiem i dobrym pedagogiem bo mimo swoje gwałtowne usposobienie, miał szczególny dar zyskiwania sobie zaufania u swych uczniów. Imponowała u niego zdolność zwalczania wszelkich przeszkód i trudności, Jego zapał do pracy, w której miał zacięty upór kresowca. Tylko on z młodych chłopców przy bardzo ograniczonym czasie prób mógł stworzyć zespół, który kiedyś był dobrze znany w Krakowie i walczył o lepsze z innymi orkiestrami zawodowymi. Z nim tylko mogliśmy zdobyć zaszczytne miano mistrzowskiej orkiestry zajmując pierwsze miejsce w konkursie orkiestr o puchar im. Ks. Bratkowskiego, gdy konkurującym zespołem była orkiestra Zw. M. P. i R. prowadzona przez p. majora Schreyera. Z nim tylko mogliśmy zbierać oklaski na tylu capstrzykach w Rynku krakowskim. Dziś z Nim minęły już te czasy i tylko wspominać po zgonie ich twórcy nam przyszło.

Przez dziesięć lat mieszkał z nami. Ten maleńki pokoik na poddaszu, to jakby cela dziwnego samotnika, którego więziło tam nie pragnienie kontemplacji religijnej, ale wielkie umiłowanie pracy i swego zawodu.

I tu chciałbym podkreślić jeszcze jeden piękny rys, który tak dobitnie charakteryzuje Zmarłego. Nie miał on nigdy przywiązania do własności. To jakby albertyńskie ubóstwo sprawiało, że przy swej intensywnej pracy i dobrych zarobkach nie posiadał nic i nic też po sobie nie pozostawił. Zdarzało się i to często, że przychodzili do niego różni ludzie. Żadnej prośbie nie odmówił. Dawał pieniądze, dawał własne ubrania i rzeczy, pozostawał dosłownie bez niczego, bo takie miał serce, które nie mogło znieść łez czy bólu bliźniego. Nie liczył na wdzięczność, bo znał życie i ludzi, ale czasem żalił się na obłudę i cynizm wielu, którzy wykorzystywali jego dziwną dobroć.

Takim był ś. p. Atamaniuk i takim żyć będzie długo w sercach swych uczniów, którzy dopiero teraz może oceniają, że korzystali nie tylko z darów jego umysłu i zdolności, ale też wiele uszczknęli z darów jego wielkiego serca.

Z szeregu pracowników naszego zakładu odszedł przedwcześnie niezastąpiony po latach ciężkiej pracy i twardym życiu i stąd żal po nim tym większy. Niech wreszcie zazna spokoju.

W. F.

Do radiosłuchaczy katolickich w Polsce!

Katoliccy radiosłuchacze innych krajów łączą się, by zaznaczyć swe postulaty i swą współpracę w ważnej dziedzinie radiofonii, urastającej do wielkiej potęgi. Wystarczy rzucić okiem n. p. na Holandię. Holenderskie „Katholike Radio Omroep“ (t. zw. Katolickie Towarzystwo Radiofoniczne) ma dziś 96 komitetów propagandowych w większych miastach i 785 przedstawicieli w mniejszych miejscowościach. Wydaje własny tygodnik radiowy w nakładzie 140.000 egzemplarzy. Personel urzędniczy „K. R. O.“, rozmieszczony w wydziałach: administracyjnym, programowym, propagandowym, redakcyjnym i t. d., liczy ogółem około 200 osób. „K. R. O.” nadaje swoje programy co wtorek, czwartek i niedzielę, oraz co drugi piątek. „K. R. O.“ dysponuje najbardziej nowocześnie urządzonym studio samochodowym, zaopatrzonym w krótkofalową stację nadawczą i w aparaturę do nagrywania płyt dla celów reportażowych i t.d. A przecież katolicy holenderscy mają cięższą pozycję w kraju — niż my..

Dlatego zdecydowaliśmy zorganizować naszych polskich radiosłuchaczy (nie tylko samych radioabonentów), **którym postulaty katolickie leżą na sercu.** Powołaliśmy do życia **„Związek katolickich radiosłuchaczy“,** zatwierdzony przez władze administracyjne na całą Polskę, z siedzibą w Krakowie. Zwróciliśmy się do **Najprzew. Księży Biskupów** naszych z prośbą o błogosławieństwo dla naszych poczynań. Nawiązaliśmy kontakt **z Diecezjalnymi Instytutami Akcji Katolickiej,** bo nasza organizacja przestrzega **ram diecezjalnych** i działalności okręgów „Z. K. R.“ pokrywa się z granicami diecezyj.

Chodzi obecnie o to, by wszyscy uświadomieni katoliccy radiosłuchacze **jak najrychlej** pomnożyli nasze szeregi, zakładali **oddziały miejscowe i okręgowe,** podając sobie ręce do współpracy w tej coraz ważniejszej dziedzinie współczesnego życia kulturalnego.

Statuty przesyłamy na żądanie.

Zaznaczamy, że **wkładka roczna wynosi 1 zł.,** dla korzystających z abonamentu ulgowego 50 groszy.

Z katolickim pozdrowieniem

ZWIĄZEK
KATOLICKICH RADIOSŁUCHACZY
KRAKÓW, UL. KANONICZA 14

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Adres zwrotny „Głos Brata Alberta" Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.